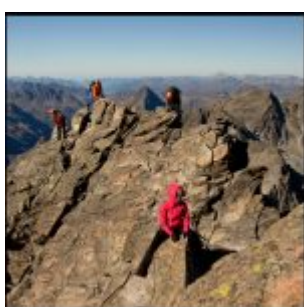


Silvretta





To się po prostu kocha...

Tekst: Łukasz Jankowski

To był fantastyczny wyjazd. Kolejny cel osiągnięty. Od jakiegoś czasu marzyłem o wyjeździe w Alpy – na lodowiec. Pragnąłem doświadczyć, co oznacza *wejście na lodowiec*. Jak

mówią – do trzech razy sztuka. Także i w moim przypadku to się sprawdziło, ponieważ na pierwszy planowany wyjazd nie dostałem urlopu. Drugie podejście, to załamanie pogody. Trzeci raz w tym roku, udaje się wszystko. Jedziemy. Prognozy są dobre, ekipę na wyjazd udaje się skompletować.

Nadszedł piątek 21:00. Nasz szef wyprawy „Dziku”, wraz ze swoim doświadczonym alpejsko kolegą Tomkiem, wpadają po mnie i Magdę. Pakowanie, wsiadamy do auta i ruszamy do Austrii. Po drodze zgarniamy jeszcze Sławka. Mamy już komplet. Droga nocą jest pusta, także mija dość szybko i po 10 godzinach jesteśmy w miejscu docelowym na parkingu. Szybkie śniadanie, pakowanie plecaków i ruszamy około 7 km do schronu z 20-to kilogramowymi plecakami na plecach. Po około dwóch godzinach jesteśmy na miejscu. Tam chwila odpoczynku, przepakowanie i ruszamy na pierwszy szczyt. Początek całkiem przyjemny, kamienista ścieżka. Po jakimś czasie docieramy pod ten niesamowity lodowiec. Czas założyć raki, uprząż, kask, czekan w rękę i do boju. Wiążemy się liną i ruszamy w górę. Po jakimś czasie kończy się lodowiec, nie było tak strasznie. Zaczyna się skalista grań, a więc to za czym nie przepadam. Idziemy dalej, związani liną, krok po kroku, zabezpieczani przez Dzika i Tomka, ciśniemy na szczyt. Docieramy na Dreiländerspitze 3197 m.n.p.m. Szczyt ten, leży w paśmie Silvretta w Alpach Retyckich, na granicy trzech krajów: Szwajcarii, Austrii i Tyrolu.

Na górze kilka fotek, odpoczynek, picie, jedzonko i powrót znowu tą paskudną granią. Powoli, krok po kroku, udaje się szczęśliwie zejść, dalej lodowiec – czyli raki na nogi, czekan w dłoń i powoli schodzimy w dół. Po jakimś czasie zaczyna się skalista ścieżka do schronu. Szczęśliwi, że udało się w tak ciężkich warunkach zaliczyć szczyt po nocy spędzonej w aucie, schodzimy do schronu. Tam czeka nas niespodzianka – w schronie nie ma miejsca na nocleg. Chwila zastanowienia, zostać w schronie, czy zejść do auta na noc? Błyskawicznie podejmujemy decyzje – prześpijemy się na podłodze. Noc mija bardzo szybko,

byliśmy zmęczeni, a podłoga nie była aż taka zła. Nadchodzi ranek, w schronie ruch, a więc my także szybkie śniadanie, ogarnięcie się, spakowanie plecaków i ruszamy na nasz kolejny szczyt – Piz Buin.

Zaczyna się niewinnie, ścieżka w skałach pod górę, następnie wejście na przełęcz. W oddali widzimy, że lodowiec strasznie topnieje i ogromna część oberwała się zagrządzając szlak. Kilkutonowe bryły lodu nie pozwalają na przejście. Musimy zejść dużo niżej, aby to ominąć. Tracąc sporo wysokości, znajdujemy ścieżkę, którą postanawiamy ruszać dalej. Jesteśmy sporo opóźnieni przez te seraki lodowe. Po jakimś czasie docieramy do lodowca, a więc znowu raki na nogi, czekanie w dłoni. Związujemy się liną i ruszamy. Przed nami ściana lodu. Trzeba ogromnie uważać, bo jeden błąd i wszyscy spadają. Czekamy nas wspinaczka, z całej siły wbijanie przednich zębów raków w lód, asekuracja czekaniem. To było mega obciążenie nie tylko fizycznie, ale także psychicznie. Jeden zły ruch i wszyscy lecą. Po kilkuset metrach teren troszkę się wypłaszczcza, ale za to pojawiają się lodowe szczeliny. Opóźnienie było tak duże, że zastanawiamy się czy zdążymy wrócić przed zmrokiem. Tak więc bez zatrzymania, krok za krokiem, związani liną gonimy w górę by zdobyć kolejny zaplanowany szczyt. Według planu jeśli do 15:00 nie zdążymy to trzeba zawracać. Mocno zmęczeni o 13:00 docieramy na przełęcz. Tam zaczyna się wspinaczka, tak więc czas trochę odpocząć, napić się i pożywić. Ruszamy w górę, nadal związani liną, krok za krokiem, asekurowani podążamy w górę. O 14:40 docieramy na Piz Buin.

Zmęczony, szczęśliwy, UDAŁO SIĘ. Jestem na wysokości 3312 m n.p.m. To było moje marzenie. Wpisuję się do książki, która znajduje się na szczycie, kilka zdjęć i w drogę. To przecież jeszcze nie koniec, ponieważ trzeba wrócić do schronu. Część trasy powoli schodzimy, potem najtrudniejszy fragment, Dzik opuszcza nas na linie i po jakimś czasie jesteśmy z powrotem na tym niesamowitym lodowcu. Nie mamy za wiele czasu, tak więc łyk herbaty, ubieramy raki i w drogę. Trzeba uważać, ponieważ

co jakiś czas pojawiają się szczeliny, ale trasa mija całkiem spokojnie i znowu dochodzimy do tej lodowej ściany. Na szczęście po kilkudziesięciu metrach udaje się zejść na skałę. Wtedy skałami obok tej lodowej ściany schodzimy w dół. Droga się dłuży, ale powoli, powoli schodzimy do tych lodowych seraków. Udaje się wypatrzyć inną ścieżkę, na którą kierujemy się aby iść dalej. Niestety znowu podejście do schroniska. Po jakimś czasie, kiedy wydaje się że schron jest tuż, tuż, nagle kolejny wąwóz. Trzeba ponownie zejść kilkadziesiąt metrów w dół i podejść w górę. Każdy jest już bardzo wyczerpany po tak ciężkim dniu, ale szczęśliwy ponieważ chwilę po 18:00 udaje się dotrzeć do schronu. Wspaniały dzień, wspaniała ekipa. Teraz czas na posiłek i zasłużony sen. W niedzielę schron już był pusty, także spokojnie poszliśmy spać. Poniedziałek rano, podejmujemy decyzję, że schodzimy do auta i wracamy do domu. Droga powrotna także mija szybko, bez żadnych korków i około 23:00 jesteśmy już we Wrocławiu.

Góry mają w sobie coś niesamowitego. Tego nie da się opisać, to się po prostu kocha. Cele, marzenia i pasje są w naszym zasięgu. Mimo naszych ograniczeń, jakimi życie nas obdarza, warto do nich dążyć. Dzięki towarzyszącym mi osobom czułem się cały czas bezpiecznie, fantastycznie zabezpieczony i asekurowany. Kilka lat temu, pewna osoba, Aga zaraziła mnie tą pasją. Dziś Dziku rozbudził mój apetyt. Już marzę o kolejnych wyjazdach.

Tekst: Łukasz Jankowski